№ 34.

Bióro Redakcyi przy ulicy Chmielnéj blizko Nowego Światu Nr. 1260D (3 nowy) w Warszawie.

Opiekun Domowy wychodzi raz w tydzień co Środa. — Prenumeratorowie z prowincyi raczą nadsyłać przedpłatę wprost do Redakcyi, a to w celu uniknienia zawodu w odbiorze naszego pisma.



Warszawa, dnia 11 (23) Sierpnia 1871 roku.

ROK —

Serja Druga.

Cena: w Warszawie 25 kop. miesięcznie — na Prowincji: rs. 1 kop. 20 kwartalnie (w tém mieści się już opłata pocztowa: za przesyłkę kop. 11¼, oraz za opakowanie i ekspedycję kop 33¾). Skład główny dla pp. Księgarzy *w Warszawie*, w księgarni Ferdynanda Hösicka, Ulica Senatorska Nr. 496, w *Poznaniu* u Leitgebera, — *we Lwowie* u Wilda Karola, *w Żytomierzu* u Budkiewicza księgarza.

TĘSKNOTA.

Już ja nie ten co zawczora i nie ten, co wczora—
Memu sercu, mojéj pieśni jużby spocząć pora—
Lecz czym winien, że me serce podawnemu bije?
Że pieśń o Niéj — o Kochanéj — dawna pieśń w niém żyje?
Że to serce — niby lutnia, co za lada tchnieniem
Drży i płacze cichym jękiem, a śpiewa wspomnieniem?...

Z gaju gdziem z Nią pędził chwile,—co był przy mnie siany,
Stoi ledwie setne drzewo.. w miejsce drzew—burzany;
To gdy patrzę, aż mi oko zalewa się łzami,
A krew łez tych, płynąc z oczu, twarz mi całą plami..
Że chcąc wstrzymać czas okrutny, co wciąż biegnie daléj,
Klnę w swéj pieśni tych com kochał i co mnie kochali.

Gdziem zagościł, w jakiéj stronie—jakie przebiegł szlaki,
Wszędziem pieśni me pogubił, niby pióra—ptaki..
Ptakom pióra znów odrosną.. ale mnie już z wiosną,
Ze skowronkiem, zmarłe pieśni serca nie odrosną..
Na mym grobie noc zapłacze tylko rosy łzami,
I zasieje darń zieloną z cichemi kwiatami.

O! gdybyż choć do tych kwiatów téj mojéj mogiły
Jedna łezka Téj, dla której pieśni moje żyły!
Gdybyż choć jedno westchnienie!.. to za mil tysiące
Poczułoby serce moje te Jéj łezki drżące..
Poczułoby je pod ziemią—powstało z pod ziemi—
I kwitłoby też na grobie z kwiatkami cichemi!..

A. Gr.

FRANCISZEK KOSTRZEWSKI.

(Dokończenie).

Artysta rysował w Kielcach karykatury dla przyjemności własnéj lub dobrych przyjaciół, nie przewidując nawet że zczasem temu rodzajowi przeważnie się odda. Przychodziło mu to łatwo, bez wysilenia, więc chwytał na gorąco różne sceny małomiasteczkowego życia i przenosił je na papier ze swobodą i werwą, które go zawsze cechowały. Jednocześnie, porządkując galeryą Zielińskiego, wpatrywał się w poważne oblicze sztuki, doskonalił poglądy, uszlachetniał formę.

Po czteroletnim pobycie w Kielcach, Kostrzewski, za namową księcia Kazimierza Lubomirskiego, (zmarłego niedawno kompozytora muzycznego) postanowił przenieść się do Warszawy. Przedtém jednak obaj artyści wybrali się na wycieczkę w Swiętokrzyskie góry. Kostrzewski niósł pożegnanie kochanka wspaniałéj, malowniczéj, pięknéj naturze, Lubomirski podsłuchiwał melodye ludowe, które w tak wdzięcznéj szacie wyśpiewać potrafił.

Zajmującym epizodem téj artystycznéj wycieczki był nocleg w Bodzentynie. Podróżnicy zatrzymali się w owéj małéj mieścinie, dla odpoczynku. Kostrzewski zawsze wesoły, zawsze pełen oryginalnych pomysłów, przedstawił miejscowemu burmistrzowi siebie i swego towarzysza, jako wędrownych aktorów, prosząc o pozwolenie zagrania teatru. — Przedstawiciel władzy w miasteczku chętnie przychylił się do tego żądania, rad z duszy zobaczyć widowisko, jakiego podobno nigdy przedtém w Bodzentynie nie bywało. Artyści gorąco wzięli się do rzeczy. Porozlepiali afisze, wynajęli jakąś lichą szopę, a Kostrzewski wymalował umyślnie ogromny transparent, który oświecony należycie łojówkami, wabił nieprzywykłe do takiego widoku oczy poczciwych mieszczan.

Przedstawienie rospoczęło się o ósméj wieczorem. Artyści grali improwizowane sztuki, we frakach przewróconych na drugą stronę. Były to kostiumy bardzo malownicze, gdyż w owych czasach ozdabiano fraki podszewką pąsową, a w rękawach niebieską. Po zakończeniu widowiska Kostrzewski palnął do widzów mówkę, zawierającą czułe podziękowanie za łaskawe względy i oznajmiającą, że artyści całkowity dochód z wieczoru (około 5 rs.) poświęcają na kolacyjkę, do któréj szanowną publiczność *in gremio* zaprasza.

Na drugi dzień rano, cała ludność Bodzentyna odprowadzała artystów z muzyką i śpiewami, daleko po za granice miasteczka.

W Warszawie czekało Kostrzewskiego inne zupełnie życie i inne wrażenia. Społeczeństwo ówczesne jak zbogacony dorobkowicz, oddychało tylko użyciem, świeciło blaskiem sztucznym, paliło kadzidła mamonie, próżności i zmysłowym instynktom. Talent i sztuka kryły się w cieniu, ogłuszone hałaśliwą wrzawą życia na zewnątrz.

Młodemu artyście, bez sławy, przyjaciół i stosunków, ciężko było pomieścić się śród tego zmateryalizowanego świata. — Z domu nie otrzymywał już żadnéj pomocy, — musiał więc liczyć na własną tylko pracę.—A z pracą tą niedaleko zajść można było. Jedyne zajęcie malarza w owych czasach, stanowiło robienie portretów i dawanie lekcyj rysunku. W obu tych kierunkach Warszawa miała już swoich sławnych i renomowanych, którym powierzano wszystkie korzystniejsze zlecenia. Kostrzewski więc czuł się bardzo szczęśliwym, kiedy po kilku miesiącach głodnego czekania, zaczęły mu się trafiać zamówienia portretów olejnych po 6, a najwyżéj po 10 rs. za sztukę — i lekcye po 10 kop. za godzinę.

Maleńka izdebka, w ciemnéj, wilgotnéj suterynie, o wązkiém, okratowaném oknie, posiadająca za całe umeblowanie stare łóżko, o trzech nogach, przyparte do ściany, jeden chorowity stołek i straszliwie pokaleczony stolik — to było pierwsze mieszkanie artysty w Warszawie.

Jakiś biedaczysko szewc, ze starego miasta, potrzebujący szyldu nad oknem swego warsztatu, zabłądził przypadkiem do siedziby młodego malarza i polecił mu zrobić olejnemi farbami godło swego zawodu, duży but, któryby zdaleka dojrzeć można było. Honorarium miało być wypłaconém w postaci dwóch par, realnych, nie malowanych kamaszy. Kostrzewski wywiązał się z zadania z sumiennością prawdziwego artysty. Odmalował szyld starannie, dodał z boku kilka fantastycznych akcessoryów, a w pośrodku but olbrzymi, umiejętnie cieniowany, wyglądał rzeczywiście jakby tylko

co wyszedł z pod dratwy, a nie z pod pędzla. Zadowolony z wykonania oczekiwał właściciela szyldu, ciesząc się już z góry wrażeniem, jakie na jego rubasznéj fizyognomii spostrzeże. Szewc zgłosił się niebawem po odbiór obstalunku. Obejrzał uważnie malowidło, dotknął palcami białych smug światła na cholewie i przy szwach, skrzywił się, splunął i rzekł:

— Kiedy Waćpan nie umiesz malować, nie trzeba było podejmować się i obiecywać. — Panie odpuść! — gotówby jeszcze kto pomyśleć, że ja robię buty z takiemi nie przymierzając białemi plamami. Przyszlę tu acanu formę z papieru wyciętą i proszę mi wedle tego uczciwie a czarno zamalować.. a żeś mi zrobił zawód, więc tylko jednę parę kamaszy dostaniesz.

To była pierwsza robota płatna i.. pierwsza krytyka w zawodzie artysty.

Fabrykując tanie portrety i dając jeszcze tańsze lekcye, żył Kostrzewski z dnia na dzień, pełen świetnych nadziei i złotego w najcięższych nawet chwilach humoru. Dowcip, jego najszczerszy przyjaciel, szedł z nim ręka w rękę przez życie, odstraszając blade widma głodu, nędzy, trosk i rzemieślniczéj pracy. Artysta siłą młodéj fantazyi stworzył sobie świat własny złudzeń roskosznych i marzeń tęczowych. Codzienna powszedniość obchodziła go o tyle tylko, o ile ciało domagało się uznania jéj praw. Ostatni grosz gotów był zawsze wydać na bukiet dla Ubóstwionéj, na wesołą hulankę w gronie przyjaciół, na jałmużnę dla żebrzącego biedaka, jedząc na drugi dzień z równém weselem i swobodą obiad *wąchany* własnego pomysłu, składający się z dwóch bułek i obfitych zapachów mięsnych, dolatujących z pierwszéj lepszéj garkuchni.

Szedł o własnych siłach, nie zniżając się nigdy do prośby o protekcyę lub poparcie. Żadnemu z mecenasów sztuki nie przyszło nigdy na myśl wyjednać Kostrzewskiemu stypendium, albo wysłać go za granicę własnym kosztem. Porywano go do towarzystw, bo umiał najbardziéj posępnych rozweselać; podziwiano jego śpiew, zachwycano się gwizdaniem przy fortepianie, oklaskiwano dowcip, ale też na tém ograniczała się danina składana jego talentowi. Artysta oceniał ten świat według wartości. Ogólnie ludziom odpłacał śmiechem, którego niewyczerpane zasoby nosił w duszy: dla przyjaciół miał śmiech *serca*, szczery, rozgłośny, porywający,— obojętnych darzył uśmiechem *myśli*, ironiją zaprawioną ostrym dowcipem. Kłaniać się nie umiał i nie chciał. Z cichego kąta *biedy* i *pracy* zaobserwował wiele i wiele się nauczył. Poznał społeczność do głębi i uczuł, że ażeby zostać sławnym, potrzeba mu tylko.... chcieć tego.

Gdy wynalazek fotografii zabił na pewien czas malarstwo portretowe, Kostrzewski zaczął malować rodzajowe obrazki, które wystawiał w sklepie Hirszla, na Krakowskiém Przedmieściu. Świeżość pomysłów, prawda i humor traktowania, zjednały tym obrazkom wielką wziętość. Zachęceni tém inni malarze, zaczęli również umieszczać swe utwory u Hirszla i tym sposobem po raz pierwszy w naszym kraju dzieła sztuki stały się dostępne większym massom publiczności.

Odtąd Kostrzewski przeważnie i stanowczo poświęcił się humorystyce ołówka. Na tém polu rozgłos jego wzrastał nadzwyczajnie szybko. *Szkice i obrazki* Warszawskiżgo życia, pierwsze karykatury Kostrzewskiego, do tekstu Wacława Szymanowskiego, rozchwytano w tysiącach egzemplarzy. Wkrótce potém ukazało się w Warszawie pismo humorystyczne: „Wolne Żarty“, które Kostrzewski znakomicie illustrował. Następnie zaś, z powiększeniem się ruchu w dziennikarstwie krajowém, ołówek Kostrzewskiego ozdabia wszystkie pisma illustrowane szkicami, które nieraz w kółkach towarzyskich, z tygodnia na tydzień, dostarczają materyałów do wesołych pogadanek.

Z obrazów olejnych Kostrzewskiego, umieszczanych w różnych czasach na Wystawie Sztuk Pięknych, najwięcéj zwróciły uwagę znawców: Licytacya chłopskiego dobytku, — Powrót z jarmarku, — Pożar i Targ w miasteczku.

Płody jego pędzla odznaczają się humorem głębokim, wypływającym z artystycznych kontrastów. Śmiech i płacz godzą się tam z sobą, jak w życiu. Zamiłowanie prawdy posuwa artysta aż do realizmu, a jednak z całości przemawia zawsze jakiś idealny, rodzinny duch, jakby głos żywy na płótnie zaklęty.

Za malarza skończonego, poważnego, stojącego na wyżynie studiów nad sztuką, nikt Kostrzewskiego uważać nie może i on sam do tego nie ma pretensyi. Jest on raczéj humorystą - satyrykiem społecznym i z tego punktu widzenia oceniać go tylko można.

Naturę jego humoru określiliśmy na początku tego szkicu.— Powiedzieliśmy także, iż rysunki Kostrzewskiego pod względem wykonania, pozostawiają zawsze wiele do życzenia. O bogactwie jego talentu świadczy nam niewyczerpana płodność pomysłów, zawsze oryginalnych, zawsze z ducha obserwującego życie i naturę, płynących. Przypatrując się jednak dziejom człowieka - artysty, widzieliśmy, jak wcześnie konieczność pracy dla chleba, zmusiła Kostrzewskiego do śledzenia za upodobaniami społeczności, któréj był członkiem, jak w miarę wzrastających ciągle potrzeb, obowiązki życia kazały mu coraz więcéj pracować, a dziś jeszcze, ów humorysta sławny, poszukiwany, zarzucany prośbami o roboty, rysuje po całych dniach dla wyżywienia i wykształcenia dzieci.

Przy takich warunkach brak artystycznego wykończenia w szkicach Kostrzewskiego, nikogo nie zadziwi; raczéj podziwiaćby potrzeba tę siłę talentu, tak długo zachowującego dzielną żywotność, a nadewszystko ową niewymuszoną, najmniejszą szczyptą goryczy niezaprawną swobodę, która wszystkie kreacye artysty umie natchnąć samodzielną, odrębną, a zawsze odpowiednią charakterystyką.—Doprawdy, Kostrzewski wydaje się nam najobjektywniejszym z humorystów. Ołówek jego nie zna uprzedzeń i osobistych sympatyj lub niechęci. W salonie czy w chatce, artysta wydobywa na jaśnią ogólne prawa natury ludzkiéj, wszędzie jednakowe treścią, a tylko objawami różne.

K. Ł.

BRAMA DOLMABAGDŻE W KONSTANTYNOPOLU.

Niewiele miast na kuli ziemskiéj współzawodniczyć może z Konstantynopolem, co do piękności panoramy. — Szczególniéj prześliczne są jego przedmieścia, a mianowicie te które są położone nad Bosforem. — Na jedném z nich wznosi się przepyszny pałac Sułtana, do którego prowadzi brama Dolmabagdże, przedstawiona na rysunku w dzisiejszym Numerze Opiekuna Domowego. Swoją architektoniczną budową, w stylu wschodnim, tyle się wyróżnia pomiędzy innymi gmachami Konstantynopola, że nadała nazwisko pałacowi Sułtana i całemu przedmieściu. Podług niektórych ma ona być starożytnym zabytkiem budownictwa i przez nią podobno w 1453 r. wdarli się szturmując Turcy do Konstantynopola, gdzie poległ w walce ostatni z Paleologów.

O SILE W CZŁOWIEKU.

(Dalszy ciąg).

Znam *silnego* człowieka w dziejach téj ziemi:

będąc *złym* z natury, czyli mówiąc inaczéj, mając w charakterze swoim własności, które za *złe* bezwzględnie uchodzą w powszechném ludzi pojęciu,— postanowił sobie, *o sile samego rozumu*, użyć wad tych wszystkich na stworzenie możliwego dobra dla siebie i drugich. Pogardzany i nienawidzony spoczątku za zbrodnie, które popełniał obficie, stał się nagle, przedmiotem powszechnéj czci i ubóstwienia, a zyskawszy wówczas za życia jeszcze przydomek „roskoszy rodzaju ludzkiego“ utrzymał go dla pamięci swojéj aż do chwili obecnéj, przez przeciąg 19-stu blisko wieków!

Historya Rzymu nazywa człowieka tego,—a jest nim sławny Tytus, — *dobrym* tylko.

Ja go nazwę *silnym*.

Lecz jeszcze przykład:

Bakon Werulamski pisząc księgi, o których wiedział że będą nieśmiertelne, nie zapominał jednocześnie i o drugim swoim doczesnym celu, aby zostać możnym i, możnym już będąc, — bogatym.

Drogi do celu tego mogące go doprowadzić, wydawały się często jemu samemu przykre; były istotnie niebezpieczne w skutkach i, co główna, rujnujące dobrą opinję o nim, jako o człowieku, w łonie potomności.

Trzeba było wybierać między chęcią zbogacenia się a chęcią zachowania dobréj społecznéj sławy na zawsze.

Bakon wybrał tę pierwszą, jako prowadzącą go prędzéj i łacniéj do tysiąca pomniejszych życiowych celów, jakich sobie dla tych lub innych przyczyn dopiąć postanowił.

Historya wiedzy nazywa za to Bakona *nikczemnym*.. lecz jest-że on nim naprawdę i, jest-że czém inném w téj nikczemności swojéj właśnie, jak nie *siłą* działającą według swéj natury tylko?

Inny jeszcze przykład *siły*, — a widzicie, że wybieram je z różnych sfer umyślnie,—przedstawia nam postać fikcyjna wprawdzie, ale jednak mogąca znaleść sobie prototypy w realném życiu, postać zbrodniarza poprawiającego się w zupełności *moralnie* i przemieniającego się stopniowo w *cnotliwego* człowieka, wytworzona przez Wiktora Hugo dla powieści p. t. „Nędznicy", znanéj wam wszystkim zapewne.

Myślę o Jean'ie Valjean'ie.

„Czego chce dowieść taki Jean Valjean?"—pytano się zbiorowym głosem.

„Czy, że społeczeństwo całe, jak było dotąd, było jedną wielką *słabością* i *chorobą* a, on jeden jest *siłą* tylko—czy też przeciwnie: że on *chory* i *słaby*, sam w sobie, przez zdrowie tylko zbiorowe tegoż społeczeństwa, stał się *silnym* i *mocnym* odrazu?"

Pytano się tak i oba pytania były mylne.

Wiktor Hugo w postaci Jean'a Valjean'a chciał daleko głębszą, daleko szerszą wykazać światu prawdę.

Chciał mu przedstawić *rodzimość*, iż tak powiemy i *aprioryczność siły* ducha, działającéj we wszystkich przejawach: w kollizyi z siłą powszechną natury, z siłami szczególnemi pojedynczych ludzi, pod naciskiem wszystkich praw na nią ciężących, w walce z żywiołami wszystkimi — w posągowéj, nieméj zgodzie z samą sobą.

Myśl Jean'a Valjean'a kiełkuje w powieści téj, plastycznie w czynach upostaciowana, przez ciąg cały téjże powieści, stopniowo i zwolna, jak roślina rozwijąca się normalnie i według praw odwiecznych, z nasienia, którego natury nic zmienić nie może. Metamorfoza Valjean'a odbywająca się tam wkońcu, jest nie dowolną, powziętą przez niego samego i mogącą służyć za przykład moralny dla drugich, przemianą — nie.

Jean Valjean w zbrodni swojéj i w cnocie jest jednym i tym samym *mocnym* duchem, ustępującym tylko w działaniu swojém przed *siłami*, które siłę jego, wartością wrodzoną swoją i wrodzoną doniosłością, przewyższają.

Jeśli wam *dobrym* wydaje się w końcu swego życia, to tym dobrym nie stał się wcale, a był nim już na początku zaraz.

Dobroć jego w którą się przedzierżgnął z najwyższéj przedtém *złości* i *niecnoty*, jest tak koniecznem następstwem złożonych w duszy jego przy urodzeniu zaraz nasion ducha, jak jabłko koniecznie urodzić się musi z nasienia jabłkowego i grunt na który osadzoném będzie, zniszczyć je tylko może i zrujnować, ale nigdy zmienić na coś podobnie wbrew przeciwnego sobie jak *zło* i *dobro* w świecie moralnym.. np: na kamień, cegłę etc...

Tytus, który do śmierci saméj, żadnéj ze złych wad swoich nie poprawił w istocie, a tylko rozumowi oddawszy kierunek użycia ich odpowiedniego wedle potrzeby, stworzył sobie możliwe dobro na ziemi, jest podobnie działającą wedle praw ścisłych w niéj zawartych *siłą* umysłu tylko i intelligencyi, jak Valjean, który przeciwnie, wszystkie wady swoje które posiadał, przemienił szczerze, z własną wiedzą o tém i zmianie téj sam się radując, na *cnoty*.

Rozumie się, wyrazów *wada* i *cnota*, używamy tu w powszechném nie zaś naszém znaczeniu.

Lecz skończmy na tém przykłady *siły* w ludziach i wróćmy napowrót do przerwanego przedmiotu—do zapytania, któreśmy sobie zadali na ostatku, rozwiązanie jego ścisłe pozostawiając na potém: *czém są owe inne siły prócz boskiéj*, jeśli już mogą być takie?

(Dalszy ciąg nastąpi.)

PRASSA PERYODYCZNA.

(Dalszy ciąg).

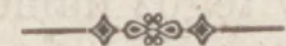
Ale taki Bazar ogólny, o ile jest pożytecznym w sferze handlowéj, gdyż dostarcza możność kupującemu zaopatrzenia się odrazu we wszelki towar, bez potrzeby szukania go po rozmaitych, oddzielnych sklepach, o ile jest pożyteczny także i ze względu że odpowiednio do zamożności konsumentów, posiada dla każdego z nich produkt stosowny do środków jakimi on rozporządza, nie da się zastosować w literaturze, a przynajmniéj nie będzie dla ogółu publiczności pożytecznym organem. Bo trzeba-ż wreszcie, ażeby taki sklep umysłowy, miał i swój kontuar także, do którego składają się wszelkiej wartości towary; gdzie wiedzą istotną cenę każdego z nich i do odpowiednich pułek czy pudełek wkładają; trzeba ażeby zleżałe, zwietrzałe, słowem, zepsute produkta, oddzielone tam były i wykluczone z handlu, a wreszcie trzeba ażeby jedna, zdolna głowa i energiczna wola, pilnowała ściśle programu całéj firmy i czuwała nad jéj rzetelnością i moralnym także kredytem. W Bazarze handlowym, nabywca może kupić lub odrzucić pojedynczo, każdy z pokazywanych mu towarów — lecz konsument organu literackiego, mającego charakter takiego Bazaru, musi go kupić w całości — wziąść obok ziarna, plewę. Nie każdy zresztą byłby zdolnym rozsegregować sobie gatunek i wartość takiéj, ryczałtem nagromadzonéj literackiéj produkcyi, a w dziale krytycznym zwłaszcza, bardzo wielu, znalazłszy się pomiędzy kilku, różnych piór, odmiennymi poglądami i zdaniami, błąkałoby się samopas, nie wiedząc które z tych zdań aprobować a które odrzucić w części lub w całości? Dla tego to choćby już tylko powodu, każdemu organowi literackiemu potrzebną jest przedewszystkiem idea czyli myśl przewodnia, a następnie i program, który jest drogą po któréj promienie téj myśli biegną. Strzeżenie takiéj myśli i pilnowanie programu, jest głównym zadaniem redakcyi i dla tego redakcya niezależna całkiem od administracyi, nieodzowną jest dla każdego organu, mającego jakąś istotną wartość i jakiś cel przed sobą.

Otóż, „Kłosom" takiéj właśnie, solidarnéj z ideą pisma i z jego programatem Redakcyi, nie dostaje. Są tam ludzie czynni, zdolni, nawet uczeni; są pióra wytrawne lub połyskliwe tylko — są nawet chwilowe, oderwane poglądy — lecz myśli przewodniéj, rdzennéj, czyli téj osi moralnéj około któréj cały bieg organu się obraca— nie ma. Nie mówimy ażeby indywiduom w składzie Redakcyi lub współpracownikom „Kłosów" brakowało zdrowego pojęcia o celu pisma a tem mniéj zdolności do prowadzenia go — lecz widocznie indywidua tam nie są ściśle skojarzone w swojéj gremialnéj pracy, a może też, co najprawdopodobniéj, uległy one temu tak zgodnemu z ogólną naturą naszą ociężeniu, które po pewnym, danym periodzie energii i pilności, wyczerpuje one i wiele spraw, pozornie drobniejszych, zdaje na łaskę bożą. Jakaż naprzykład istotna redakcya pisma, mającego pretensję do powagi, pisma zamożnego wreszcie, przepuściłaby do szpalt swoich i to jeszcze na stronicę tytułową, taki wiersz jak „Student" p. Henryka Cieszkowskiego—wiersz, w którym ani ducha ani formy ani nawet jednego promyka poezyi nie ma? A jeszcze też, jakby na szykanę, wiersz ten zaopatrzono w winietę z drzeworytem, mającą illustrować treść tego utworu. Miły Boże! Nasz skromny „Opiekun" objąwszy w spuściźnie obowiązek dawania drzeworytów, bez posiadania specyalnego zakładu drzeworytniczego, może odwoływać się do pobłażania czytelników, względem tego działu, który jednakże z każdym numerem widocznie, ulepszyć się stara — lecz czyliż takie „specyalnie" illustrowane pismo, jak „Kłosy", które posiada wszelkie pod ręką środki — może dopuścić aby zamiast drzeworytu wyszła karykatura aż tak licha jaką jest owa winieta do niefortunnego „Studenta"? Wszakże ów Student podobniuteńki tam jest raczéj do zasmolonéj pomywaczki a nawet włosy ma zupełnie po kobiecemu, acz niedbale, zaczesane — gdy tymczasem jego ideał, przedzielony „krzaczkiem różanym" w sukni jakiejś szczególnéj o krótkich rękawkach, i z podkasaną spódnicą, wygląda jak stara schorowana kokietka, pogrążona w żałobnéj refleksyi nad utraconemi... zębami, których też, sądząc po układzie zapadłych ust, widocznie jéj brakuje! Że zamieszczenie takiéj winiety, nie pochodzi z niedostatku środków a tylko z zaniedbania się—dowodzi tego, zaraz na środkowych szpaltach pomieszczony, bardzo dobry drzeworyt z sławnego obrazu młodego węgra, Michała Munkacsy p. t. „ostatnie dni skazanego." Wprawdzie, dawniéj już, tenże sam obraz zamieszczony był w piękniejszym jeszcze drzeworycie, w Tygodniku Illustrowanym, który ten dział artystyczny z niesłychaną starannością traktuje — lecz i obecny, w 318-m numerze „Kłosów" mało do życzenia zostawia, a już o całe niebo różni się od owéj nieszczęsnéj do „Studenta" winiety i od drzeworytu zamieszczonego także do téj poezyi!!.... na ostatniéj stronicy tegoż numeru, gdzie znowu, dwie karykatury, tylko w tragicznie szpitalném otoczeniu, cuchną.

Siła ciężkości, czyli, jakby wyraził się myśliwiec, „waga kniei" każdego pisma, leży w pewnych jego i to już najwłaściwiéj stałych, peryodycznych rubrykach — najczęściéj w sprawozdaniach czysto krytycznych lub i, w tak zwanych, kronikach tygodniowych. W pierw-

szych głębiéj i całkiem poważnie wyrażają się zasady i sądy, danego organu, w drugich, choć w lżejszéj, czasem nawet w humorystycznéj formie, widnieją jego poglądy na potoczone sprawy a nawet w części i jego *pia desideria*. W Kłosach rubryka krytyczna, z początku pilnie opracowywana i widocznie w kompetentne powierzona ręce, — obecnie zaniedbała się znacznie — może na ogórkową porę tylko?... zaś, tak zwane „Pokłosie" chociaż także zdolném i dość wytrawném pisane piórem, grzeszy przecież niedostatkiem tego, że się tak wyrazim, *tonu*, który, bądź co bądź, stanowi, jeśli nie całą to główną wartość i wpływowość artykyłów tego rodzaju. W takim peryodycznym „feljetonie" tygodniowym, musi być odbita silna indywidualność prowadzącego tę rubrykę autora — musi mu przewodniczyć jedna, bardzo widoma zasada, która wyrażana w sarkastycznéj jak i w poważnéj lub w humorystycznéj nawet formie, przeświecać zawsze powinna—tak, że stały czytelnik „Kłosów" naprzykład, zabierając się do czytania takiéj rubryki, już z góry wiedzieć powinien, z jakiego stanowiska sądzone tam będą pewne, dane w ruchu społecznym fakta. Taki feljeton jak „Pokłosie, Kronika Tygodniowa" jak wszystkie tego rodzaju, jakkolwiek zatytułowane po pismach peryodycznych artykuły — chociaż muszą się stosować formą do rozmaitych, napływających ku nim faktów i o każdéj, bądź nowości, bądź zdarzeniu każdém, odzywać się w odmiennym stylu, przecież muszą być spojone jednością tego *tonu*, o którym wyżéj wspomnieliśmy— bo taki ton, lekkim tym rubrykom za zasadę służy i tendencję onych, zgodną z tendencją całego organu, wyraża.

Tymczasem w „Pokłosiu" czuć zawsze jakieś zakłopotanie, jakby niepewność nawet. Czuć tam że autor nie stoi na silném, niewzruszoném stanowisku; że nie ma on niezależnego sądu. Wygląda to tak, jak gdyby autor opracowujący głębszą krytykę w Kłosach, oraz ich recenzenci: teatralny, muzyczny i autor „Pokłosia" nie porozumiewali się z sobą; jakby jeden ociągał się na drugiego i hamował pióro na każdym kroku, by czasem nie napisać czegoś niezgodnego z myślą przez drugich wyrażoną. Taka niepewność i chwiejność w traktowaniu podpadających pod sprawozdania przedmiotów, pochodzi właśnie z braku jednolitéj, scementowanéj jedną zasadą, solidarnéj duchem i ideą redakcyi. Taka Redakcya musi być złożona koniecznie z zgodnych w zasadzie elementów, a chociaż indywidua w skład jéj wchodzące mogą miéć różne w niektórych przedmiotach wyobrażenia a nawet odmienne choćby, na pewne dane, poglądy — to przecież wszystkie te różnice, po gremialnych sesyach, powinny zespolić się w obec jednego stanowiska, na którém pismo, jako organ publiczny stoi, i w obec drogi jaką sobie zakreśliło,—w przeciwnym razie, nie będzie ono istotnie organem opinii publicznéj lecz kalejdoskopem literackim i przedsiebierstwem czysto handlowém. Już pod tym względem „Tygodnik Illustrowany" wyżéj stoi. Tam brak jest żywotności wprawdzie, któréj i w „Kłosach" na serio nie ma, lecz jest za to Redakcya jednolita, prawda, że często konserwatywna a częściéj i zacofana nawet.

Kłosy rozpoczęły i prowadzą wydawnictwo pośmiertne dzieł kompletnych ś. p. Józefa Korzeniowskiego. Nie wchodząc już w to, czy istotnie *wszystkie* bez wyboru prace, pozostałe po znakomitym pisarzu, warte były przedrukowania, bo wreszcie autorowi takiemu kompletne wydanie dzieł jego słusznie się należy,— powiemy tylko że wydawnictw częścią zewnętrzną, nie bardzo odpowiedziało oczekiwaniom naszym. Pojmujemy, że wydawca Korzeniowskiego, chciał przedewszystkiem zrobić korzystny dla siebie i dla Kłosów interes, i nie mamy doń pretensyi o to że poświęcenia z własnych funduszów na cześć zmarłego autora robić nie chciał — lecz sądzimy że można tu było w większym nieco stopniu połączyć *utile* z *dulci* i choćby po większéj cokolwiek cenie, dać edycję bardziéj wytworną. Zdaniem naszém, byłaby to nawet korzystniejsza spekulacya a wydawnictwu miejscowemu, tak ubogiemu istotnie, pozostałby jakiś pomniczek przecie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

OBRAZY DAGESTANU

przez

R. Klonowskiego.

(Dalszy ciąg).

Po krótkim wypoczynku oddział ruszył dalej. Miuryd zaproponował kiężnie siąść na konia, ale księżna, mając na ręku dziecko, nie mogła wleźć na siodło; oddać zaś swoję córeczkę jednemu z czeczeńców, choćby na czas krótki, obawiała się. Wolała zatém iść pieszo. Trudną była droga: piasek i drobne kamyki wchodziły przez pończoszkę do rany na nodze, sprawiając nieznośny ból, tak, że księżna mimowoli musiała zostawać z tyłu, przez co ściągała na siebie, chociaż niebardzo srogie, zawsze jednak dotkliwe i poniżające razy bata od swego uwoziciela....

Męka ta trwała do przeprawy przez rzekę Kizyschewi. Księżna szła w brod, trzymając dziecko na ręku, jeźdcy otaczali ją dokoła. Brod w jedném miejscu był tak głęboki, że księżna raptem zanużyła się w wodzie po piersi, straciła równowagę i została uniesioną pędem wody. Czeczeńcy pospieszyli wyrwać jéj z rąk dziecko a i samą wkrótce wyciągnęli na brzeg, bez żadnych innych następstw, prócz tego tylko, że się przelękła i zmokła do nitki.

Na brzegu, księżnę napół żywą miuryd posadził przy sobie na siodle, a widząc że nie mogła się sama utrzymać, zatknął prawą jéj rękę za pas swój rzemionny z przodu, ściągnąwszy go mocno, żeby ręka się nie wyrwała i zdobycz jego nie upadła. Księżna jedną więc tylko ręką mogła podtrzymywać małą Lidyą, co przy jéj osłabieniu nie mogło trwać długo; ręka po niejakim czasie zaczęła zamierać i mimowoli się opuściła, a dziecko za każdym silniejszym zwrotem konia, uderzało się o siodło niemiłosiernie.

„W imię nieba! w imie Boga! w imie Mahometa nakoniec," wołała biédna matka, — „dajcie mi cokolwiek, żebym mogła przy-„wiązać dziecko! Ono upadnie!"—

Wówczas czeczeniec wziął dziecko na ręce i wiózł je tak aż do wsi Kandoły, w któréj górale stanęli z uwiezionemi kobietami po godzinnéj jeździe i natychmiast wieś podpalili.

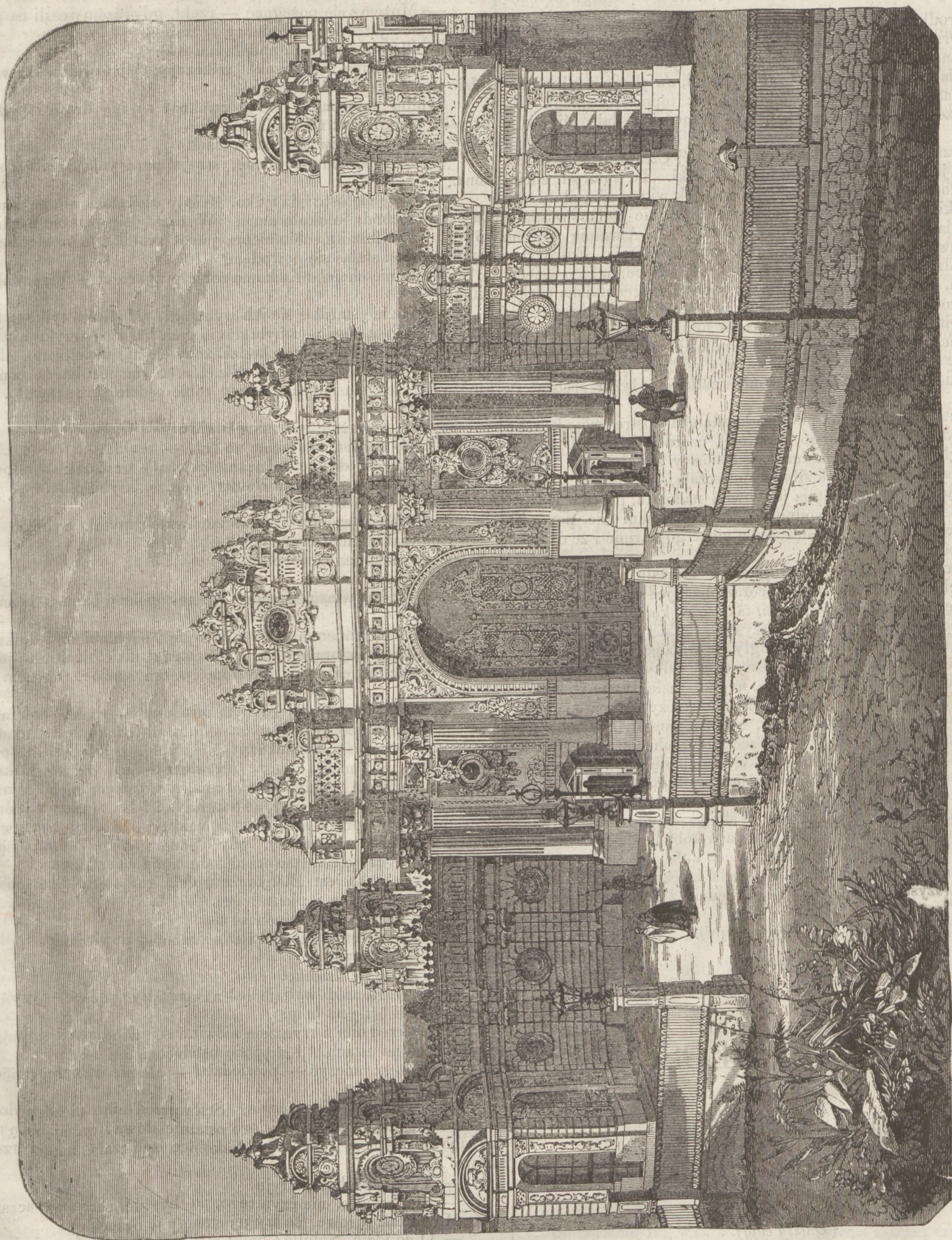
Małego Aleksandra, którego w Cynandałach oderwano od mamki i rzucono na dziedziniec, podjęła pokojowa księżnéj, Łucya. Dziewczyna ta widząc dziecko głodne i nie mając mu co dać jeść, dała mu naprzód napić się wody, a potem kawałek śniegu. Obie te rzeczy, choć niebardzo pożywne, zachowały jednak dziecko od głodnéj śmierci. Synka księżnéj Orbeliani, Jerzego, zostawiono przy mamce. Zdrowe to i mocno zbudowane dziecko podobało się czeczeńcom, którzy na prośbę mamki dali jéj powróz do przywiązania go do siebie. Salomeę zaś i Maryę rozłączono w Cynandałach z p. Drançay. Sprzeczne charaktery tych dwóch dziewczynek wykazywały się i w niewoli. Salomea, która dziś jest żoną Wice-gubernatora Kutaiskiego, barona Osten-Sakena, gwałtowna i wyniosła, groziła, biła nawet czeczeńca, który ją wiózł; Marya przeciwnie, łagodna i lękliwa, płakała, bo była głodną. Młody jakiś, czternastoletni czeczeniec, zlitowawszy się nad dziewczynką, dał jéj jabłko, mówiąc: „weź i zjedz je; wy gruzini przyzwyczailiście się jeść codzień." — Jednocześnie z księżniczką, zabrany był w niewolę chłopczyk włościański jéj ojca, mały Ello. Jadąc na koniu za drugim czeczeńcem, chłopiec poznał ją i zawołał po imieniu. Wkrótce dzieci przypomniawszy się zaczęli w najlepsze z sobą rozmawiać, a nawet śmiać się. Tak to mało trzeba młodości dla zapomnienia smutku! Tamara, przyzwyczajona do księżnéj Orbeliani, płakała mocno, wołając ją ciągle po imieniu. Płacz ten i krzyki znudziły nakoniec czeczeńców, tak, że nie mogąc dać sobie z nią rady, wepchnęli ją do worka, głową na dół. Dziecko jakoś uspokoiło się w worku i po chwili usnęło.

Kiedy za wsią znów się karawana zatrzymała, księżna postrzegła w tłumie kilka ze swych pokojowych dziewcząt. Jedna z nich Bazylisa (rossyanka), podeszła do księżnéj z synkiem jéj Aleksandrem na ręku, mówiąc, że dziecko jest bez mamki, która zapewne jedzie z drugą partyą. Miuryd zrozumiawszy o co idzie, wyjął z kieszeni kawałek cukru, wziętego zapewne w Cynandalach, i dał księżnie żeby nim nakarmiła malca.

Daléj jechano już bez żadnéj drogi, przez pola, łamiąc winnice i tratując żniwa. Przed Ałazanią czeczeńcy jeszcze się raz zatzymali, a miuryd sam podał księżnie małą Lidyą, żeby jéj dała piersi. Bazylisa w téj chwili znów podeszła z Aleksandrem, który krzyczał i płakał po swojéj mamce i prosiła żeby księżna go nakarmiła, ale chłopczyk nie chciał ssać obcéj mu piersi matki, rozdzierając swoim żałosnym krzykiem jéj serce. Prawdziwie, można było przyjść do rospaczy...

Tu księżna była świadkiem oburzającéj sceny. Nieopodal kilku czeczeńców zaczęło zdzierać złote szaty z zrabowanych w Cynandałach obrazów, a jeden pokazawszy jéj jakąś książkę gruzińską zrobił gest, że chce ją rozrąbać. Miał on zapewne na celu dokuczyć tém księżnie, sądząc, że książka była od nabożeństwa. Rzeczywiście tak księżnie jak i drugim kobietom—chrześciankom ciężko i boleśnie było patrzeć na to poniewieranie świętych rzeczy. Właśnie w téj chwili księżna zasyłała do Boga gorące modły, żeby dał jéj siłę i moc ducha przecierpieć wszystko do końca.

W trakcie tego kawalkata skończyła popas. Bazylisa poniosła małego Aleksandra, a Lidya, owinięta w jakiś armiak furmański, została na ręku matki, która znów siadła na konia,za swoim miurydem. Po drodze do Ałazani, księżna spotkała drugą z swoich służebnych kobiét, praczkę Barbarę, polkę, która siedząc na koniu trzymała czwarte jéj dziecko, dwuletnią Tamarę. Przy spotkaniu obie kobiéty mogły kilka słów z sobą zamienić. „Cóż Barbaro, nie „lękasz się?“ zapytała księżna.— „Nie pani, nasz przewodnik dobry człowiek; dawał jeść księżniczce,“— odrzekła kobiéta, myśląc więcéj o dziecku niż o sobie.


BRAMA DOLMABAGDŻE W KONSTANTYNOPOLU. (str. 266).

W ciągu drogi, miuryd który wiózł księżnę, wyjął chustkę i chciał jéj twarz zakryć. Późniéj księżna dowiedziała się, że u górali wszystkie porządne kobiéty jeżdżą z zakrytą twarzą; lecz w téj chwili, upatrując w tém jakieś niebezpieczeństwo dla siebie, nie zgodziła się zasłonić twarzy, żeby każdą przygodę spotkać śmiało wzrokiem.... Na belwederze innego była zdania; lecz odtąd zdołała już w części oswoić się z cierpieniem i niebezpieczeństwy..... Wkrótce potém zaczął deszcz padać i lał aż do przeprawy przez tę Ałazanię o której książę Czawczawadze sądził,że czeczeńcy nie będą mogli jéj przebyć. Woda była wprawdzie znacznie się podniosła,

tak, że na chwilę i kobiéty myślały, że ich uwoziciele nie ośmielą się przebywać jéj w brod; lecz górale bez żadnego namysłu, z właściwą sobie odwagą i zręcznością, puścili konie wpław. Ci którzy mieli z sobą dzieci, wzięli je w jednę rękę, trzymając nad wodą, a drugą kierowali końmi; kobiétom zalecono trzymać się mocno, bo konie były po szyję w wodzie i zaraz niemal od brzegu płynąć zaczęły.

Na środku rzeki,mała Marya krzyknęła do guwernantki: „moja kochana Drançay, tracisz swoję spódnicę.“ I w rzeczy saméj biedna kobiéta stanęła na drugim brzegu w koszuli tylko i w gorsecie, prawie skostniała od zimna, gdyż wody Ałazani, zwiększone kilkodniowemi ulewami znacznie były oziębione przez topniejące śniegi. Jeden z czeczeńców ulitowawszy się nad francuską, dał jéj swoję burkę.

Podczas przeprawy odebrali od księżnéj Czawczawadze dziecko i oddali je dopiéro na drugim brzegu rzeki. Tu miuryd chciał zsadzić z siodła swoję brankę, żeby cokolwiek wypoczęła, ale wszystkie członki księżnéj tak były zdrętwiałe, że nie będąc w stanie zejść z konia sama, wolała na nim pozostać. Za Ałazanią księżna wyminęła swoję dworską dziewczynkę, czternastoletnią Eufrozynę, która jechała konno, w burnusie i słomianéj czapce małego księcia Aleksandra, gorzko płacząc, że górale mieli ją za generalską córkę.

Po drodze spotykano czeczeńców w szczególném ubraniu: jedni byli owinięci w żeńskie chustki, albo suknie, drudzy, prócz papachów, mieli na głowach dziecinne kapelusiki, tak, że w każdym innym razie maskarada ta rozśmieszyłaby księżnę. Niektórzy trzymali w ręku widelce, drudzy znów mieli zatknięte łyżki srebrne za pasem.

Teraz dopiéro księżna postrzegła zdaleka siostrę swoję,księżnę Orbeliani, która jechała konno, w swojéj czarnéj, sukiennéj sukni, z odkrytą głową. Po niejakim czasie siostry się złączyły. Księżna Czawczawadze czuła jak siły ją opuszczają. Wkrótce i głos jéj zamarł. Sądząc że już ostatnia jéj chwila nadeszła, prosiła siostrę żeby wzięła Lidyą, ale przewodnik księżnéj Orbeliani nie pozwolił wziąść dziecka, mówiąc, że księżna nie może go karmić i że dziecko umrze z głodu.

W takim porządku zgraja łupieżców zbliżała się do podnóża góry Koncchy. Czeczeńcy jechali coraz bliżéj jeden przy drugim, w miarę zwężającéj się miejscowości, tak, że w końcu cały ten tłum zlał się w jednę gęstą massę. Wszystkie kobiety zapewne były wówczas blisko siebie, choć i nie mogły się widzieć. Księżna Orbeliani jechała niedaleko za siostrą. Czeczeńcy tylko co zaczęli objeżdżać górę Koncchowską, gdy wtém, nagle, rozległy się wystrzały armatnie i z ręcznéj broni. Tysiące kul i kartaczy osypało górali. Była to zasadzka kapitana Chitrowo, który z garstką gruzinów powziął był zamiar odbić księżne. Czeczeńcy, chociaż dziesięć razy silniejsi, zamiast stawić czoło wojsku, rzucili się ze swą zdobyczą w bok, sądząc że to tylko awangarda liczniejszego oddziału; a zawróciwszy konie nazad, z krzykiem Szamil imam! Szamil imam! zaczęli uciekać przez pola, zboża, rowy i skały. Konie ich leciały tak prędko, że oddech tamował się w piersiach kobiet. Liczyli oni i na to, że się im uda wyminąć zasadzkę. Lecz kule dosięgały wszędy uciekających. Miuryd, za którym siedziała księżna Czawczawadze, wyprzedził wszystkich. Silny koń jego pędził z szybkością błyskawicy.

(Dalszy ciąg nastąpi).

DRUGA MIŁOŚĆ.

POWIEŚĆ

JULJI KAVANAGH.

TOM I.

(Dalszy ciąg).

— Cóż tam Edwardzie?

— Telegram od Parkesa, odpowiedział Edward krótko; pisał — dlaczegożeśmy listu nie otrzymali?

Sybilla mocno była zagniewana na stryja. Co ją obchodził Parkes i list jego? Lub dla czego nie mógł Parkes czekać do jutra?

ROZDZIAŁ IX.

Milczący powrót do domu nie ułagodził niechęci Sybilli, a gdy przybyli, ledwie raczyła spojrzeć na stryja. Wbiegła na schody, rzuciwszy niedbale i niegrzecznie słowa: „dobranoc stryju“ a chociaż szedł tuż za nią, ani się nie obejrzała.

— Możemy się pożegnać — rzekł, gdy razem weszli na piętro, bo ja odjadę jutro wprzód nim ty wstaniesz.

Sybilla obróciła się i podała mu rękę.

— Wejdźmy tu — rzekł, wskazując jéj otwarte drzwi sali, gdzie jeszcze paliło się światło.

Sybilla usłuchała. Stryj zamknął za nią drzwi i podał jéj krzesło, sam jednak nie siadając.

— To pierwszy twój bal, zaczął.

— O, tylko nie łaj mnie, stryju! przerwała Sybilla, strwożona.

— Chcę cię ostrzedz tylko. Kiedy czekałem tam na was, kilka pań przechodziło około mnie. Wyrażały się o tobie bardzo surowo. Czy wiesz ilu sobie nieprzyjaciół zrobiłaś tego wieczoru? — ilu przykrości stałaś się powodem?

— Ja nie chciałam nikomu robić przykrości — przerwała Sybilla.

— Ale nie starałaś się ich wyminąć. Myślałaś tylko o chwili przyjemności, a chwila ta była dla innych bardzo przykrą. Wiém że nie możesz temu przeszkodzić żeby cię nie uwielbiano, ale możesz nie podburzać wszystkich na siebie. Świat jest bardzo zmienny i może się kiedyś uśmiechać kiedy tobie będzie serce pękało. Pamiętaj o tém.

Sybilla poważnie wstrząsnęła głową.

— I to wszystko o taniec na balu — rzekła.

— Prawda, długie to kazanie za mały grzeszek — odpowiedział z uśmiechem — ale mi chodzi o ciebie, Sybillo. Myśl o tém czém jesteś i czém być możesz...

— Dobrze, czémże jestem? zuchwale zapytała Sybilla.

Spojrzał na nią i uśmiechnął się.

— Piękną panną, Sybillo.

— I czém jeszcze?

— W tém właśnie rzecz — jesteś piękną panną, i na tém koniec.

Sybilla zarumieniła się. Czuła się i pochlebioną i dotkniętą. Wzrok stryja spoczywający na niéj wyrażał uwielbienie i to jéj pochlebiało; ale uwielbienie określone w ten sposób, gorszém było niż nagana.

— Mówiłbym więcéj gdybym miał czas — rzekł, spojrzawszy na zegar, ale muszę się spieszyć. Nie myśl jednak że wpadam na komunały o marności wdzięków. Nie, Sybillo, jeżeli ci kto powie że piękność jest marną rzeczą, nie wierz temu. Jakto? piękność, będąca przejawem rozumu i dobroci, przejawem nieba samego, miałyby być marną rzeczą? To herezya i fałsz, przeciw któremu protestowano już przed sześciu tysiącami lat. Piękność jest ważną rzeczą, i co się mnie tyczy, gdy widzę kobietę dobrą, piękną i ukształconą, czuję że mam przed sobą klejnot stworzenia.

— Ach, taką jest Blanka, zawołała gorąco Sybilla; ona jest stryju, dobra, piękna i ukształcona.

Spojrzał na nią i uśmiechnął się.

— Dobra jesteś, szczera i szlachetna — powiedział.

— O mój stryju!

— Tak, moje dziecko.

— Pani Ronald wydaje bal na przyszły tydzień — czy mam tańczyć, jeżeli będę na balu?

Stała przed nim z wyrazem niewinności w oczach i skromnym uśmieszkiem na ustach. I stryj się uśmiechnął.

— Możesz tańczyć — powiedział — ale nie odbieraj tancerzy innym pannom.

Obserwował ją nieznacznie. Stała przed nim niezdecydowana i tryumfująca, rozważając jego ostatnie słowa i wahając się między obowiązkiem a roskoszą. Nakoniec spojrzała nań i rzekła żwawo:

— Tylko spróbuję, stryju.

— Nie, Sybillo, nie czyń tego, to by złe serce oznaczało.

Mówił tak surowo, że łzy jéj stanęły w oczach.

— O co idzie, Sybillo? rzekł ojciec, wchodząc do pokoju.

— Stryj mnie łaje, rzekła zadąsana,—i nie spojrzawszy już na niego, wyszła z pokoju.

Gdy drzwi zamknęła usłyszała zapytanie ojca. — Co zrobiła Sybilla? i odpowiedź stryja. — Tańcowała zadużo.

— Czy nie zaziębiła się w skutek tego? zapytał Kennedy troskliwie.

— Nie, ale poodbierała tancerzy innym pannom — odpowiedział stryj Edward.

Kennedy rozśmiał się na to i rzekł niedbale: Daj jéj pokój, Edwardzie, — tonem, w którym znać było iż cieszył się z tryumfu córki.

Sybilla weszła do swego pokoju mocno zagniewana.

— Nie cierpię tego stryja — myślała — jest złośliwy i nieprzyjemny; nie życzę Blance wyjść za niego. Nie wart jéj.

W tych myślach zaczęła się rozbierać. Szybko zerwała wianek róż z głowy i bukiet z piersi. Deniza czekając na młodą swoję panią zasnęła w krześle, a Sybilla chociaż żywego temperamentu, dobre miała serce i nie chciała budzić biednéj, zmęczonéj dziewczyny.

— Nie spodziewam się iżby myślał o Blance—mówiła daléj do siebie. On przypuszcza że Blanka nie zasługuje na uwielbienie. Ale, co widzę, to list od niéj...

List zapieczętowany leżał na jéj tualecie. Schwyciła go, otworzyła, przeczytała kilka wierszy i dopiero spojrzała na adres. Pisany był ręką wcale niepodobną do ręki Blanki i nie do Sybilli był aresowany. Stała przez chwilę zdziwiona i przerażona, potem złożyła go napowrót drżącą ręką. Co zrobiła? co powie jéj ojciec? Sybilla czuła trwogę i miała czego się obawiać. List położono na jéj stole, dlatego, że powiedziała Denizie iż oczekuje listu od przyjaciółki. Był to list ważny, a spowodowała zwłokę w odebraniu; był tajemniczy, a przeczytała go w połowie. Deniza w téj chwili obudziła się i patrzała na panią swoję zamglonym wzrokiem.

— Idź do łóżka Denizo, nie będę się teraz rozbierać i nie potrzebujesz czekać na mnie.

— Ale ja muszę — rzekła Deniza.

— Nie, nie życzę sobie tego.

Mówiła tak stanowczo, iż służąca zastosowała się do jéj woli.

Po jéj odejściu Sybilla lekko i cicho wymknęła się na dół do biblioteki, zkąd ją dochodziły jakieś niezrozumiałe głosy...

Zapukała do drzwi, ale nie posłyszano jéj, a rozmawiano tak głośno, iż mimowoli słuchać musiała. Mówili po angielsku, — i nie obawiali się podsłuchania przez służących.

— Był mojém przekleństwem i jest do tego czasu, — rzekł z uniesieniem ojciec.

Nie chcąc słuchać dłużéj, Sybilla otwarła drzwi i stanęła z listem w ręku. Obadwa tak byli zdziwieni jéj nagłém zjawieniem się, iż Sybilla zapomniała tłumaczenia jakie w myśli przygotowała i rzekła prędko:

— Przykro mi bardzo. List ten przez omyłkę położono na moim stole.

Stryj był najbliżéj; wziął list, spojrzał na adres i złamaną pieczątkę, potém na Sybillę, ale nie rzekł ani słowa; podczas gdy Kennedy nie wiedząc o główném przewinieniu Sybilli, rzekł z niechęcią:

— Dla czego weszłaś bez zapukania?

— Chciałam list oddać bez zwłoki.

— Jakim sposobem dostał się w twoje ręce? zapytał z błyszczącym wzrokiem.

— Oczekiwałam listu od Blanki Cains, a Deniza myśląc że to do mnie, położyła go na moim stole.

— Już mnie nudzi ta Blanka Cains — ze złością rzekł Kennedy — cóż w tym liście Edwardzie?

Brat podał mu list. Kennedy przebiegł go okiem i rzekł krótko:

— Musisz jechać. — Zaraz pójdę wyszukam papiery.

Wstał i opuścił bibliotekę nie spojrzawszy na Sybillę, która stała blada i drżąca przed stryjem. Ten wyciągnął do niéj rękę i przybliżył ją ku sobie.

— Czytałaś adres? zapytał, patrząc spokojnie ale badawczo.

Sybilla skinęła głową.

— I co więcéj, Sybillo?

— I trzy pierwsze wiersze mój stryju.

— No, nie spoglądaj tak rozpaczliwie, moje dziecko. Gdybym miał pieczęć przy sobie — dodał z dobrotliwym uśmiechem,— przyłożyłbym ci ją do ust, jak Aleksander Hefestionowi; ale że jéj nie mam, powiem ci tylko po prostu, żebyś milczała. Nie lękam się o ciebie Sybillo. Masz twarz otwartą, zaotwartą może, ale wiém dobrze, że umiesz milczeć i więcéj mi też nie potrzeba.

— Sybilla spojrzała na niego. Chciała mu zadać pytanie, ale w oczach jego nie znalazła zachęty.

— Nie, — powiedział — ja z méj strony nie dbałbym oto, ale ojciec twój lękałby się. Zawierz mu, moje dziecko, zawierz.

— Wierzę, wierzę, zawołała Sybilla; ale stryju, nie mogę zapomnieć tego com przeczytała, a było to o tym okropnym panu Smith.

— Dobrze, cóż to więc znaczy?

— Ale, stryju, tam jakieś niebezpieczeństwo dla ciebie; to jasne dla mnie.

— Nie troszcz się, moje dziecko, niebezpieczeństwo musi być niewielkie, kiedy właśnie mam zrobić to, o czém list przestrzega żebym nie robił.

— Och, nie rób! — nie rób! — błagała.

Widząc że drży, sądził iż jéj zimno, i zaczął ją ganić że zeszła na dół w muślinowym ubiorze, z gołemi ramionami i szyją. Spostrzegłszy okrycie ojca na krześle, wziął je i obwinął niém Sybillę.

— Mnie nie zimno — rzekła Sybilla, wybuchając płaczem; ale czuję się być nieszczęśliwą. Och, czemuż odjeżdżasz! I czemuż jesteś taki dobry, kiedy ja wiem że źle uczyniłam.

— Odjeżdżam Sybillo bo muszę, dla obrony honoru; a dobry jestem, jak powiadasz, ponieważ, mimo wszystkich twoich błędów, które są szkaradne, muszę cię kochać. A teraz, dodał, biorac jéj rękawiczkę i lekko ocierając jéj łzy z policzków, opuść nas, ojciec wraca, a tybyś nam tylko przeszkadzała.

Sybilla obróciła się do drzwi i znowu wróciła.

— Ale przebaczasz mi stryju? zapytała.

— Moja droga, nie gniewałem się nigdy na ciebie. Nie mam ci co przebaczać.

— Dobrze, ale powiedz mi, czy nie wyrządziłam ci szkody zatrzymaniem tego listu.

— Wistocie, jeżeli Edward ci to powie, to będzie bajeczką; surowo rzekł ojciec, wchodząc do biblioteki, z paką papierów w ręku.

— Stracił to, co ani ty ani nikt więcéj mu nie powróci.

Sybilla oniemiała. Spoglądała na obu w takiéj rospaczy, iż ojciec przemówił nareszcie łagodniéj.

— No, nie kłopocz się, strata nie tak wielka — opuść nas teraz.

— Żegnam cię stryju, rzekła Sybilla, cichym głosem.

— Bądź zdrowa, moje dziecko, odpowiedział łagodnie, ściskając jéj rękę, a nie kłopocz się.

— Idźże raz przecie, — zawołał niecierpliwie Kennedy.

Sybilla odeszła. Mimowolnie jednak przyszło jéj na myśl, iż jeżeli ojciec znosił jéj drobne płochości cierpliwiéj niż stryj, to w obecnym razie, dla ważniejszego przewinienia, nie był tak łagodny.

A przewinienie było rzeczywiste,—czuła to. Tkwiło tu jakieś niebezpieczeństwo dla stryja, które jéj bujna imaginacya do wielkich podnosiła rozmiarów. Dokąd się udawał? — tego nawet nie wiedziała. Ale list na który rzuciła okiem, był pisany po angielsku i mówił o panu Smith, w tonie ostrzegającym. Co się stało i co z tego wyniknie? takiemi pytaniami długo dręczyła się Sybilla, aż usłyszawszy skrzypnięcie drzwi od pokoju stryja, wyszła ze swego pokoju i ujrzała go już gotowego do drogi. Spotkali się przy galeryi schodów.

— Moje dziecko, — rzekł tonem napomnienia, — czy chcesz się koniecznie zaziębić, chodząc po chłodnym korytarzu w muślinowéj sukni?

— Mnie nie zimno stryju i nie zatrzymam się długo, tylko powiedz mi — czy powrócisz?

— Spodziewam się.

— Czy tylko będziesz mógł? czy ci co nie przeszkodzi, stryju?

— Bóg wie, — odrzekł poważnie — któż jest panem swoich losów.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

WIĄZANKA.

Od tygodnia już, wielkie strapienie ogarnia znaczną część prenumeratorów Warszawskiego i Codziennego Kuryera! I nie dziw! Angielka guwernantka, p. Margareta Williams, dla któréj tyle Kaziów, Helenek, Zoś i Juziów, a niemniéj i dorosłych już dzieci... zbierało tak gorliwie przez rok blisko, całe stosy marek pocztowych, teraz.... gdy już wszyscy byli najpewniejsi iż posiadła za nie pałac i dobra w Anglii — nagle powróciwszy z Londynu oświadcza publicznie w szpaltach Kuryera, że liczba tych marek

okazała się zamałą i do miliona nie wzrosła! Ileż to zawiedzonych nadziei! Ile starań i mozołów zmarnowanych napróżno! Doprawdy, strach pomyśleć jak gorzkie zawody gotuje nam zawsze życie i to jeszcze, na „angielskiéj“ jak w tym razie kuchni... Czy tylko w tém wszystkiém nie ma jakiegoś podstępu ze strony chytrego „Albionu?“ i czy miss Margaretta Wiliams nie jest czasem jakąś głęboko - dyplomatyczną agentką, wysłaną do nas przez jedno z licznych towarzystw spekulacyjnych angielskich, celem wyłudzenia darmo wszystkich zużytych marek pocztowych? Doprawdy, warto ażeby nad tém zastanowiły się poważniejsze głowy, w których tak gorąco przyjęła się była myśl, zbierania owych właśnie marek, a nawet statyści warszawscy w ogóle, powinniby wystudiować głębiéj tę arcyważną *kwestyę markową.*

Loterye fantowe, już się przecież zakończyły w tegorocznym sezonie. Ostatnia, na dochód domu schronienia starców i sierot starozakonnych, miała miejsce w przeszły czwartek wieczorem. Zdaje się że teraz już administracya ogrodu saskiego może się zająć odniesieniem napowrót do bocznych alei części ławek, które wszystkie prawie zabrano stamtąd i ustawiono w jednéj tylko, uprzywilejowanéj alei.

W chwili gdy to piszemy, wszystkie pisma codzienne zdają sprawę z oryginalnéj i świetnéj zabawy ludowéj, jaka została urządzoną w przeszłą niedzielę i powiodła się jak najzupełniej w nowym parku Aleksandrowskim na Pradze, a to na dochód tamecznego czasowego szpitala. Zabawa ta w swoim programie całkiém się różniła od innych tu praktykowanych. Były tam albowiem popisy biegania pieszo do mety, słupy z premiami na wierzchu (To rzecz znana), wyścigi w łódkach, w workach, puszczanie balonów, palenie fajerwerków nad Wisłą i na Wiśle—słowém najrozmaitsze uciechy i niespodzianki, które też sprowadziły licznych zarówno uczestników jak spektatorów, na tę tak dobrze uorganizowaną i tak pożytecznym celem opatrzoną zabawę. Pomimo niepewnéj pogody, przeszło 10,000 osób zgromadziło się w Parku, a dochód ogólny w przybliżeniu, obliczają na 1,500 rubli srebrem. Podobno zabawa ta ma być powtórzoną raz jeszcze, także na dochód Pragskiego szpitala.

Smutno pomyśleć że na świecie są zawsze same kontrasty — bo podczas gdy my tu tak dobrze się bawimy w Warszawie, mieszkańcy powiatu Kaliszskiego opłakują i słuszne swoje zboża, które grad, wielkości laskowego orzecha, wybił tam na przestrzeni 370 dziesiatyn gruntu.

Nie będzie także dla wielu z czytelników naszych obojętną, dziś jeszcze zupełnie świeża wiadomość, o ostateczném przyjęciu przez p. Miller Czechowską warunków kontraktu podanych jéj przez dyrekcyę teatrów tutejszych. W każdym razie, muzykalna część czytelników Opiekuna ucieszy się zapewne z tego faktu, który operze miejscowéj wielką pomyślność wróży.

Wkrótce też amatorowie serjo-dramatycznych przedstawień, zobaczą na scenie, p. Modrzejewską, która już powróciła z dorocznego urlopu a podobno przywiozła z sobą cały repertuar, złożony z arcydzieł scenicznych, jak: „Don Karlos“ Szyllera— „Kleopatra“ Szekspira— i „Opowiadania królowéj Nawarry“, Scribego.

Ogródkowe teatrzyki wstąpiły już w fazę ostatniego miesiąca, swojego tu efemerycznego istnienia; przedstawiają one na wyścigi „Gałganducha“ który po tylu latach odpoczynku w aktach— znowu wielkie w warszawskiéj publice obudza zajęcie!

Pomiędzy wielu pożytecznymi pomysłami, które w czyn może nie wejdą, istnieje obecnie w Warszawie zamiar założenia Stowarzyszenia Gimnastycznego, na wzór istniejących i w Cesarstwie. Byłaby to instytucyja wielce pożyteczna dla fizycznego rozwoju nowych pokoleń naszych.

Podczas gdy reżyserja tutejszych teatrów krzęta się z dawna nad wystawieniem znanéj z rozgłosu europejskiego, opery Offenbacha „Życie Paryskie“ teatrzyk letni niemiecki w Alkazarze, już wystawił tę farsę wśród napływu widzów.

W handlu księgarskim, tak mało ożywionym obecnie, spotkaliśmy bardzo użyteczne dzieło p. t. „Pamiętnik do nauki harmonji, wykładu Stanisława Moniuszki“. Jest to dziełko nieodbicie potrzebne każdemu pragnącemu na serio wykształcić się w muzyce.

W tych dniach bawił w Warszawie znany już z niepospolitego talentu malarz, Brandt, którego obrazy budziły tyle admiracyi w osobach zwiedzających salę wystawy tutejszéj. Podobno artysta ten wykończa już nowy historyczny obraz, który przedewszystkiem do Warszawy przyśle.

Słyszeliśmy że do teatru Rozmaitości oddaną została nowa farsa, p. t. „Guzik“ przez J. Rosena.

Z działu wydawnictwa donosimy czytelnikom, że znany zbieracz pieśni ludowych i badacz starożytności miejscowych, p. Oskar Kolberg, wydaje obecnie w Krakowie wstępne dwa tomy swojéj Etnografji słowiańskiej. Dział ten obejmuje głównie lud Krakowski. Ważną jest także w świecie literackim wiadomość, że jeden z bardziéj utalentowanych poetów tutejszych, Felicjan Faleński, zajmuje się obecnie przekładem na język polski, wszystkich dzieł Petrarki.—Szczupły zastęp książek poważniejszéj treści, pomnożyło dzieło nakładu p. Dzikowskiego, wyszłe pod tyt. „Najnowsze wychowanie—jego cel i warunki.“ Nie jest to jednakże praca oryginalna—owszem, tylko przekład pewnego zbioru prelekcyj pedagogów angielskich. Zakończym ten szereg nowości doniesieniem, że w Petersburgu, gdzie zajmują się zawsze pilnie tłumaczeniami wszelkich ważniejszych dzieł naukowych z obcych języków, wyszła obecnie w powtórném już wydaniu. „Cellularnaja Patałogia“ Virchova. Tłumaczem tego dzieła jest p. Czackin.— Zapomnieliśmy jeszcze donieść o nowej a oryginalnej i także w druku już będącéj pracy. Są to „Pamiętniki Włóczęgi“ powieść p. Jaxy Bykowskiego.

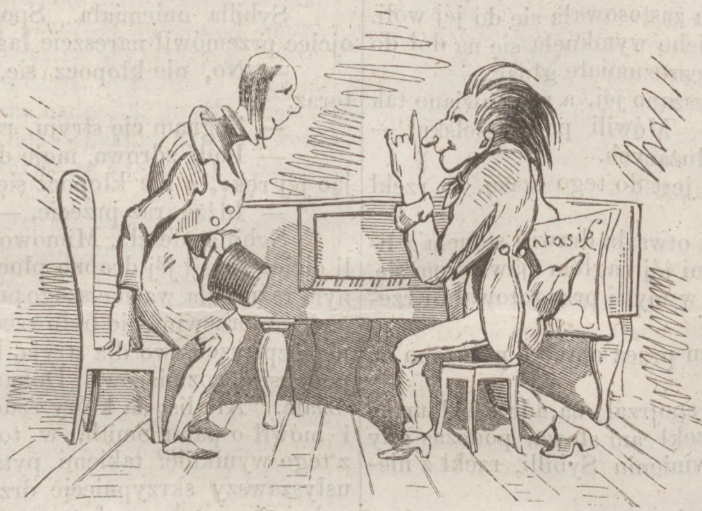
Koniec dzisiejszej Wiązanki—smutny, przychodzi nam bowiem obowiązek donieść czytelnikom Opiekuna o bolesnych stratach jakie w tym czasie poniosła literatura i scena w Warszawie. Niedawno, zmarł siedmdziesięcioletni przeszło, sędziwy Nestor dziennikarzy i publicystów tutejszych śp. F. S. Dmochowski, który do samego końca swojego poczciwego żywota jak dzielny robotnik, pracował na pożytek dla ogółu i na chléb powszedni! Działalność Dmochowskiego literacka powszechnie znana a najlepiej może i najsłuszniej ocenił ją, także szanowny weteran literatury naszej, A. E. Odyniec który we wspomnieniu pośmiertném umieszczoném w „Kronice Rodzinnej“ bezstronnie i zacnie rozświecił całe życie i całą moralną istotę nieboszczyka. Jeżeli Dmochowski nie był wielkim autorem, był on niezaprzeczenie pisarzem zdolnym i nieskażonego smaku—a w ostatnich jego dla młodzieży i dla ludu pisanych dziełkach—wiele, bardzo wiele mieści się ziarn na zdrowe w przyszłości posiewy. Odyniec w swojém pośmiertném o Dmochowskim wspomnieniu, rzuca światło i na ów mniemany antagonizm nieboszczyka z Mickiewiczem, dowodząc, że przeciwnie, Dmochowski sam jeden prawie bronił był poezyi Mickiewicza w ówczesnych pseudoklasycznych kółkach i że autor „Grażyny“ zawsze życzliwie wyrażał się o tym poczciwie zasłużonym i skromnym pracowniku.

Również ciężką, a nawet rzecby można, niepowetowaną stratę poniosła scena tutejsza w zgonie Ludwika Panczykowskiego, artysty oryginalnego i świetnego talentu, który przez pół wieku prawie, pracował chlubnie na scenie tutejszéj. Sztuki Fredry (ojca), Korzeniowskiego i Syrokomli, oprócz wielu innych, poniosły cios śmiertelny prawie, przez śmierć tego wybornego aktora, który sam jeden tylko umiał odtwarzać te starodawne, postacie sług kontuszowych i jednym gestem ręki potrafił wypowiedzieć więcéj niż inny wielu słowami. Panczykowski, był oprócz tego człowiekiem znanym z niezachwianej prawości i uczynności— i, rzecz dziwna, pozostając w teatrze przez lat blisko pięćdziesiąt, nie miał tam ani jednego nieprzyjaciela! Zasługi tego artysty oceniła publiczność tutejsza, albowiem tysiące osób należących do wszystkich sfer towarzyskich, odprowadziły zwłoki jego na cmentarz. Był to jeden z najświetniejszych pogrzebów, jako hołd publiczny, oddany głośnéj zasłudze artysty i cichym cnotom człowieka.

Δ

HUMORESKA.

WIRTUOZ.



Nr. 1. Silentium!

Wydawczyni, Kazimiera Mosch. Дозволено Цензурою. 9 (21) Августа 1871 г.— Redaktor Franciszek Gumowski.

w Drukarni S. Orgelbranda, Ulica Bednarska Nr. 369 lit. b.